

— Ojcie mój! ojcie! — szepnął, nie mogąc znaleźć innych słów do wyrażenia swojej radości.

Markiza, widok ten poruszył głęboko. Uczuł nagły ból w sercu, będąc świadkiem ufności bezgranicznej i synowskiego przywiązania, jakim obdarzał syn jego własny człowieka obcego, nie należącego do jego rodziny.

— Tak, moje dziecko — odezwał się Allan, nie rozumiejąc słów Henryka — ojciec twój jest — przybył właśnie przed chwilą, zawieszany przeze mnie.

Ale młody człowiek odpowiedział poważnie i z naciskiem:

— Nie rozumie mnie pan, drogi panie Allanie. Ciebie to nazywam moim ojcem, bo dajesz mi nadzieję i radość, jakiej nie spodziewałem się już w życiu, bo jesteś ojcem Janiny i stając w jej obronie powracasz mnie do życia, które bez niej niema już dla mnie żadnej wartości.

Mówiąc to Henryk pochwycił dłoń swojego starego przyjaciela i chciał ją do ust przycisnąć, ale Allan uprzedził ten ruch i całując serdecznie w czoło, popchnął go lekko ku ojcu, mówiąc drżącym od wzruszenia głosem:

— Takie wielkie jak ty, dziecko, mój Henryku potrzebuje starań i opieki dwóch ojców.

Markiz, bledszy jeszcze od syna, przyjął go w ramiona i uściśnął w milczeniu, przysłaniając ręką oczy, aby nie ujrzeć łez, które z nich nagle zabłyśły.

### Burza.

Skała Per-Roche, gdzie wznosi się skromny domek Janiny le Brenn, położona jest nad samym brzegiem oceanu, który ciężkie swoje fale rozbija o jej granitowe podnóże.

W chwili obecnej, w miejscu tem nie zasłoniętem niczem przed groźnymi uderzeniami morskiego huraganu, rozpanoszyła się od kilku godzin gwałtowna burza, wstrząsając zajadłe ścianami ubogiego rybackiego domku. Po zamglonem, jakgdyby przybliżonem niebie przepływają ciężkie, czarne chmury, a na wysokich czubkach spiętrzonych bałwanów kłęby białej piany odrywają się pasmami, rozciągając się korowodem plam jasnych po ciemnem i wzbu-

rzonem morzu. Powietrze całe przesycone jest mgłą dżdżystą, falującą jak płachta szara po przestworzu, z którego biegą dzikim potokiem szmery, plusk i ryczenie rozwścieklonych wód. W chaosie tych różnorodnych dźwięków zaledwie wybiję się niekiedy żalosny jęk mew białych i rozpaczliwe nawoływanie kormoranów wyrzuconych z gniazd swoich skalnych.

Na szczycie skały stoi Janka le Brenn, wpatrzona w to szalone rozpasanie się natury. Na twarzy jej nie widać przerażenia ni niepokoju. Burza morska nie obcym jest dla niej żywiołem, była ona towarzyszką jej pierwszych dziecinnych lat i dziś po raz pierwszy od powrotu swojego do rodzinnej wioski, wita ją, jak starą, dobrą znajomą.

Barykada, odebrawszy nareszcie od swojego współnika tak bardzo oczekiwaną zapłatę za zbrodnię, której miał się dopuścić, zapragnął teraz choć krótkiego wypoczynku i wytchnienia. Pragnął zapomnieć trochę o dniach przeżytych w więzieniu i nabrać sił do nowych swoich działań. A miał o czem myśleć. Najsamprzód musiał się pozbyć Janiny le Brenn, następnie córki starego posługacza, która ośmieliła się umknąć z jego ręki, zabierając ze sobą nie jedną z jego kompromitujących tajemnic. Zasługiwała na najcięższą karę, choćby z tego powodu, aby jej lekkomyślność stała się odstręczającym przykładem dla innych.

Po kilku dniach szerokiej zabawy w towarzystwie Totor i swoich sprzymierzeńców, Barykada osadził, że czas już zabrać się do roboty. W tym celu więc pewnego dnia wylądował na wybrzeżach Bretanii w okolicy Roche Kermor. Apasz nie chciał działać pospiesznie i na ślepo, aby raz jeszcze nie popsuć sprawy, która go już na dobre nudzić zaczynała. Urządził się więc w ten sposób, aby nie wzbudzić żadnych podejrzeń i nie pozostawić za sobą kompromitujących śladów. Mógł zatem nie zwracając niczyjej uwagi grasować po okolicy, badając teren, w roli kupca, czyniącego zakupna zboża i ryb. W ten sposób dotarł do Roche Kermor. Wiedział, że Janina go nie pozna, gdyż z owej nocnej napaści musiała zaledwie zachować słabe wspomnie-

nie. Zresztą przez pewien czas śledził ją wraz z Torem z daleka, nie zbliżając się do niej jeszcze.

Młoda dziewczyna zaś, pewna, że tu przynajmniej pośród znajomych i życzliwych jej ludzi nie złego stać się nie może, nie zwracała zbytniej uwagi na to, co się wokoło niej dziać mogło, zatopiona w przeżywaniu bolesnych wspomnień swojej nie-  
szczęśliwej miłości.

Apasze łatwo zatem pojęli jej codzienny tryb życia. Przekonali się, że nic łatwiejszego jak wciśnąć się której nocy do jej domku i tam przedsięwziąć zamach, z dawną uplanowaną. Lub też skorzystać, kiedy tak jak dziś właśnie, stoi na skałę zapatrzoną daleko przed siebie, zdala od ludzi, nie przypuszczająca ani na chwilę o możliwości grożącego jej niebezpieczeństwa.

Tę chwilę więc wybrał Barykada, od rana krążący koło swojej ofiary. Była jakgdyby rozmyślnie dla niego stworzona. Ryk burzy zagłuszył jej wołania. Jedno silniejsze pchnięcie, a rozszałe fale morza pochłonęły ją na zawsze.

W tej chwili właśnie oderwała wzrok od morza i smutnem spojrzeniem objęła fotografię trzymaną w ręce. Była to podobizna Henryka de Kermor, otrzymana od niego w czasie, kiedy wzajemna nie sympatyi zaczęła się pomiędzy nimi bezwiednie nawiązywać.

Barykada cicho stąpając, jak kot, podsunął się z tyłu do młodej i pochwycił silnie jej rękę.

Janina zaskoczona niespodziewanie, krzyknęła przeraźliwie, lecz krzyk ten zginął bez echa w szumie miotającego się wichru, który uniósł go daleko, na morze. Nie poznała napastnika, ale przeczuła, że jej grozi, przeczuła, że godziny jej życia są polcone. Po drugiej jej stronie stanął Totor w groźnej postawie.

— Pokażno mała! To twój kochanek, co? — zapytał Barykada, wyrwijąc jej fotografię z ręki, podczas kiedy drugą ujął ją silnie w pasie i uniósł ponad ziemią, ku wielkiej ucieście małego apasza, zadowolonego z tak łatwego rozwiązania sprawy. Jeszcze sekunda, a ciało młodej dziewczyny runie w ciemną przepaść otwierającą się pod jej stopami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Także obrazek wojenny.

(Humoreska).

— Zabraniam po raz ostatni, moje dzieci, zajmować się polityką! — mówił pan Michał do trzech latorośli swego rodu. — Dzisiaj te kwestye mogą być poruszane tylko przez starszych i to z zachowaniem wszelkiej ostrożności, można się bowiem łatwo narazić; jeżeli jeszcze raz zastanę was rozprawiających o polityce, co zwykle prowadzi do bójk — wysyłam najgłośniejszego z chłopców na wieś do cioci Wandzi.

Pamiętajcie smyki!

— Ja się nie zgadzam na ewakuację! — zaproponował energicznie najmłodszy, Tadzio!

— Co? ty się nie zgadzasz? Jaki to się nie zgadzasz? A to dobre... wysłę i basta!

— Jeżeli tatuś go wyśle, ja również pojadę — dodał Bohdanek — zawarłem właśnie onegdaj z Tadzikiem dwuprzemierze przeciwko Jerzykowi i idziemy na niego w gwałtownej ofensywie.

— O, przepraszam! — zakwestyonował Jerzyk — co do tego, to nie! Wykonałem dziś rano pomyślną kontrofensywę i podbiłem nawet Tadzikowi oko!

— Co, podbiłeś mu oko? — zawołał pan Michał. Ależ wy jeden drugiego okaleczycie! Chodź Tadzio, pokaż oko! A to dardanelskie osły! Dzieciak ma siniaka, jak pięść!

— Tatusiu, nie jesteśmy dardanelskimi osłami! — zawołałi jednocześnie chłopcy.

— Ja zawsze stoję po stronie czwórporozumienia! — dodał Jerzyk.

— My zaś nie, Turkami być nie chcemy, chociaż uważamy, że Dardanele są nie do sforsowania!

— To się jeszcze zobaczy! — bronił Jerzyk.

— Nie potrzebujemy zobaczyć, bo już widzimy: nie zdobyte i koniec!

— Poczekajcie, moi drodzy! Niech się tylko Bałkan ruszy!

— Tak, tak... ty wciąż tylko mówisz, jak Bałkan się ruszy... ruszy, jak martwe ciele ogonem!

— Proszę tylko bez cielat! W polityce niema cielat! — zapalał się Jerzyk.

— Jaki to niema? — parsknęli śmiechem młodzi chłopcy.

— Jeżeli bronisz cielej polityki Bałkanu, toś sam ciele!

— A wy barany, bo bronicie Dardaneli!

— Proszę nam nie ubliżać!

— Wy mnie ubliżacie; Bohdan weź ten kułak!

— Jerzyk, zamknij swoją „politykę“.

— Tatusiu, podbił mi drugie oko! — zawołał z płaczem Tadzio, biegnąc do ojca, który bezradny przyglądał się tej scenie.

— Kto uderzył Tadzia? — krzyknął wreszcie zirytowany pan Michał.

— To ja, tatusiu, ale chciałem Jerzyka, więc to się nie liczy!

— Ja ci dam „nie liczy się“! Jerzyk i Bohdan pójdą do kąta na pół godziny, nosem do ściany!

Chłopcy pogrozili sobie nawzajem i udali się na miejsce kary doczesnej. Pan Michał tymczasem opatrzył oko zapłakanego Tadzia, który upewniał ojca, że zerwie koalicję z Bohdanem, że nawet Rosya ma lepszych sprzymierzeńców, którzy, jeżeli pozwalają ją bić, to przynajmniej sami jej nie biją.

— A ja ci powiadam, że nie zerwiesz, boś się zaangażował finansowo — odezwał się pewnym tonem Bohdan z rogu pokoju.

— Wolę skwitować z finansów i amunicji, a nie dostawać codziennie w oko! Jerzyk podbił mi jedno, tyś drugie, nie mam więcej oczu na stracenie! Wolę prowadzić samodzielnie akcję wojenną!

— Głupi chłop! samodzielnie? Zginiesz, jak mucha — zakonkludował Bohdan.

— No, no, prześlicznie! — odezwał się Jerzyk z drugiego rogu. — Konjunktury polityczne układają się dla mnie bardzo pomyślnie, rozdwojenie w koalicji nieprzyjacielskiej. Teraz dam sobie radę z tobą Bohdanku, a później z Tadzikiem!

— Widzisz ten kułak? — odpowiedział Bohdan — nie ustąpię, choćbym miał wszystką amunicję wystrzelać; a potem na bagnety!

— A tom ich pokłócił! — zawołał uradowany Tadzio, którego oko przestało nagle boleć. — Bijcie się, bijcie, jeszcze ja na tem skorzystam!

— Mój drogi, tylko nie udawaj Anglika, bo jeszcze możesz...

— Cicho, chłopcy! — przerwał pan Michał — zdaje się, że ktoś dzwoni, to pewno mama!

Po chwili wpada do pokoju pani Helena, korpułentna magnifika pana Michała, wpadła dosłownie jak bomba z kapeluszem przekrzywionym, rozpalonemi policzkami i załamanemi rękoma.

— Heluniu! — odezwał się pan Michał — coś tak wzburzona?

— Ah! tchu, tchu, powietrza... Michale... coś strasznego... okropnego... Wyobraź sobie, ten Biernacki z parteru nazwał mnie, nie pamiętam już jaką „filką“. Cóż on sobie myśli? Nie znam specjalnych wyrażań, używanych przez mężczyzn, lecz pewną jestem, że to nie oznacza nic dobrego! I taki śmie... uczciwą kobietę... w ten sposób... Nie, nie, to przechodzi ludzkie pojęcie!

— E, on pewno mamę nazwał „moskalofilką“ — zaryzykował Jerzyk — to jeszcze nic strasznego! Zresztą, mama po części ma rację!

— Kto ma rację? Moskalofilka? Jerzyk, ty chyba kpisz! — oburzył się Bohdan.

— Nie dość tego — ciągnęła dalej pani Helena — on twierdzi, że sprzymierzeni muszą wygrać!...

— Bo ma rację! — wtrącił Bohdan.

— Taką samą, jak i ty! — dorzucił Jerzyk.

— Chłopcy cicho — zawołał pan Michał...

— Będziemy już cicho, zrobimy nawet zawieszenie broni, ale niech tatuś pozwoli nam wstać.

— A wstańcie już, wstańcie... tylko mi dajcie święty spokój!

— Więc to, Michale, nic złego ta „filka“, bo ja już myślałam...

— Ależ, nie, nie — to oznacza pewne skłonności polityczne.

— Polityczne? No to chwala Bogu, że tylko polityczne! Ale przyznasz Michałku, że Biernacki na kwestję zwycięstwa zapatruje się fałszywie, ja mam daleko więcej racji?

— O tak, Heluniu! Każde z was ma rację i ty masz rację, Jerzyk, Bohdan, nawet Tadzio ma rację, tylko ja jeden nie mam racji, że chciałbym raz mieć spokój w domu! O, żeby ta wojna najprędzej się skończyła!...

Wacław Grabiański.